

granicy. Do ostatniego starcia doszło 13 września. 15 września podpisano w Moskwie porozumienie pomiędzy ZSRR i MRL a Japonią o zaprzestaniu działań od 16 września.

W walkach ze strony japońskiej wzięło udział 75.5 tys. ludzi. Wg oficjalnych danych japońskich poległo 8.6 tys. a rany odniosło 9 tys. żołnierzy. Po stronie rosyjskiej straty ocenia się na 9.7 tys. zabitych i zmarłych oraz 15.9 tys. rannych. Straty MAL-R na 0.5 tys. zabitych i rannych (s. 63–64). Rosjanie ponieśli duże straty w czołgach i samochodach pancernych (ponad 350) (s. 65). Zniszczyła je głównie japońska broń przeciwpancerna (75–80%) i piechota (butelkami z benzyną ~ 5–10%), dobrze przygotowana do walki z czołgami (s. 67).

Praca oparta jest przede wszystkim na materiałach archiwalnych ze zbiorów Rosyjskiego Państwowego Archiwum Wojskowego, co podnosi walory podawanych danych i statystyk.

Brakiem pracy jest nieuwzględnienie działań lotnictwa, które odegrało niebagatelną rolę w łamaniu japońskiej obrony. 1. Grupa Armijna dysponowała bowiem 515 samolotami (A. Tomczyk, *Japońska broń pancerna*, t. 2, Gdańsk 2002, s. 50). 20 sierpnia w ataku na pozycje japońskie wzięło udział 150 bombowców i około 100 myśliwców (G. Żukow, *Wspomnienia i refleksje*, Warszawa 1970, s. 150).

Mocną stroną pracy jest natomiast bogaty materiał ilustracyjny – 97 zdjęć (plus dwa na okładkach), 7 map oraz 4 kolorowe plansze z przykładami radzieckiego umundurowania oraz radzieckiego i japońskiego uzbrojenia, a także tabele dotyczące ilości czołgów i samochodów pancernych I Grupy Armijnej (s. 48), jej liczebności i uzbrojenia (s. 54) oraz strat 11. (s. 52, 63) i 6. Brygady Pancerniej (s. 64) oraz 9 Brygady Pancernomotorowej.

Tadeusz Dmochowski

Egbert Kieser, *Zatoka Gdańska 1945. Dokumentacja dramatu*, Wydawnictwo L&L: Gdańsk 2003, ss. 279.

Książka Kiesera jest obiektywnym opisem katalizmu, jaki dotknął mieszkańców Warmii, Mazur, Pomorza Gdańskiego i Prus Wschodnich w pierwszych miesiącach 1945 r. Przedstawia losy

zwykłych ludzi, do których dotarła odległa dotąd wojna, a która oznaczała dla nich konieczność ewakuacji i opuszczenia dotychczasowego miejsca zamieszkania i udania się na zimową poniewierkę i ucieczkę przed nadchodzącą armią sowiecką.

Autor krótko i rzeczowo przedstawia problem zatapiania statków niemieckich w świetle konwencji haskich. Przytaczając przykłady atakowania statków szpitalnych Kieser zauważa, iż „marynarka wojenna jak i Wehrmacht były rozgorączkowane, że Sowietci nie zważali na transporty rannych. Odpowiada za to jednak niemieckie dowództwo wojskowe. 19 lipca 1941 oraz 27 lutego 1942 roku sowiecki minister spraw zagranicznych Władysław Mołotow oświadczył placówkom dyplomatycznym Szwecji, Wielkiej Brytanii, Japonii i Bułgarii w Moskwie, że chociaż Związek Radziecki nie jest sygnatariuszem konwencji haskiej o prawach wojny lądowej, uznałby ten układ za obowiązujący na swoim terytorium, gdyby Niemcy uczynili to samo. Na oba wystąpienia Niemcy odpowiedziały odmownie. Sowietci nie czuli się więc związani konwencją i tak też postępowali” (s. 155). Podobnie postępowali też Brytyjczycy bombardując ewakuujące rannych transportowce (s. 173–174).

Zaletą książki jest zamieszczenie licznych, ale niestety mało szczegółowych map a istotnym brakiem jest niezamieszczenie niemieckich nazw miejscowości na terenach należących do Polski i ZSRR. Tym bardziej, że nie byłoby z tym kłopotów, gdyż podstawą zamieszczonych w książce map i szkiców jest „Danziger Bucht 1945”.

Niezrozumiałe natomiast jest, iż chociaż w nocie od polskiego wydawcy podano, że podstawą polskiego tłumaczenia jest ósme niemieckie wydanie książki Kiesera (s. 9), to z zapisu na s. 4 wynika, że tłumaczenia dokonano z języka angielskiego.

Na tłumaczeniu niekorzystnie odbiła się nieznamość terminologii wojskowej i morskiej. W tłumaczeniach nagminnym jest nazywanie szturmiana (podoficera pokładowego) ang. *mate* (mat), niemieckie *Steuermann* sternikiem, chociaż w języku angielskim sternik to *steersman* a w niemieckim *Steuerer* (s. 142). Na statkach nie ma *bonu ładowniczego* tylko ładunkowy (s. 109).

Sformułowanie „ważne było, żeby statki pływały na głębi” (s. 112) powinno raczej brzmieć, iż kurs statku prowadził przez głębokie akweny.

Poza tym statek nie „płyńie, wypływa, wpływa” lecz „idzie, wychodzi, wchodzi”.

„*Pretoria* i *Robert Ley* miały głębokie zanurzenie, więc i trapy odpowiednio strome i długie” (s. 111). Zanurzenie może być duże ale nie głębokie, natomiast statek może być głęboko zanurzony, ale przy dużym zanurzeniu stromość trapu się zmniejsza, gdyż im statek jest głębiej zanurzony tym mniejsza jest stromość trapu.

„Okolo godziny 18.00 *Pretoria* rzuciła liny. Dwa holowniki wzięły ją na hol i wyprowadziły z portu na morską głębień” (s. 112). *Pretoria* nie rzuciła lin tylko cumy a holowniki wzięły ją na hol i wyprowadziły z portu na redę lub ewentualnie na głęboką wodę.

„Już w trakcie wychodzenia w rejs panowała rozbieżność zdań co do tego, czy łodzie ratunkowe powinny zostać wyczepione z żurawików łodziowych czy też nie. Załoga cywilna odmówiła współpracy i łodzie zostały w swoich mocowaniach” (s. 144–145). Powinno być „czy łodzie ratunkowe powinny zostać wychylone na żurawikach czy też nie. ... i łodzie zostały w swoich mocowaniach”. A to po prostu dlatego, że łodzie wyczepić można dopiero po ich opuszczeniu na wodę.

Na s. 163 mowa jest o statkach „kotwiczących przy nabrzeżach” Gdyni. Przy nabrzeżach statki nie kotwiczą lecz cumują.

Na pokładzie *E. Kummera* „leżały jeszcze cztery nieuszkodzone granaty ... Lange wspiął się po cumie na pokład i wyrzucił odłamki za burtę. Ostatni z czterech granatów eksplodował na dnie...” (s. 248). Lange oczywiście nie wyrzucił odłamków tylko granaty.

Na s. 154 *T 196* sklasyfikowany jest jako *kuter torpedowy*. Tymczasem *T 196* klasyfikowano wówczas jako *Flottentender* (Weyers Taschenbuch der Kriegsflootten, München, Leipzig 1940, s. 210), tj. statek pomocniczy, zaopatrzeniowiec, chociaż faktycznie w wcześniejszej klasyfikacji był to *Torpedoboot G 196* (ibidem, s. 15). Przy tej uwadze należy przyznać, że polski wydawca zaznaczył, że nie dokonywał żadnych poprawek, chociaż zauważył nie zawsze prawidłowe nazewnictwo wojskowe, rodzaje broni i typy statków (s. 10). A szkoda. Winą tłumacza jest natomiast nazywanie dywizjonu dywizją (np. 2. Dywizja Szkolna U-bootów – s. 144)

Na s. 191 jest prosty błąd literowy: Odłowo (Adlershorst) zamiast Orłowo.

Opierając się na relacjach Kieser dostrzegł nasilające się działania polskiej partyzantki. Najobszerniejszy fragment dotyczy okolic Tucholi: „Dla Tucholan o wiele bliższym zagrożeniem niż Rosjanie byli polscy partyzanci. W miarę jak coraz wyraźniejsza stawała się przegrana Niemców, zwiększała się aktywność partyzantów na terenach zwanych dawniej «polskim korytarzem». W ostatnich miesiącach wojny mnożyły się napady na leżące na uboczu zagrody chłopskie. Partyzanci zabierali przede wszystkim żywność, zarzynali świnie i zmuszali gospodarzy, żeby klękali przed portretem Hitlera, aby ich na końcu pobić. Później wdzielali się nawet do wiosek, napadali na wiejskie kasy spółdzielcze i podpalali budynki. Sporadycznie napadali również na wozy uchodźców i zabierali żywność oraz wartościowe przedmioty. Prowadzone przez dowództwo SS akcje odwetowe były nieskuteczne. Między jednostkami SS i Polakami dochodziło do gwałtownych i często krwawych potyczek w lasach. Zdarzało się, że nawet obywatele Rzeszy narodowości niemieckiej (reichsdeutsche), którzy zdezerterowali, walczyli po stronie Polaków. Mieli „dokumenty odniemczenia”, takie same, jakie posiadało 80% miejscowych Polaków. Fałszywe dokumenty wytwarzano w Londynie” (s. 177–178). Zmuszania do klękania przed portretem Hitlera czy nawet pobić nie można jednak w żadnym stopniu porównać do tego czego doznawała ludność polska pod okupacją niemiecką.

Innymi ukazwanymi przypadkami działalności partyzantów jest wzmianka o sygnałach świetlnych w lasach tucholskich jakimi partyzanci wskazywali brytyjskim pilotom strefy zrzutów broni, amunicji i aparatów radiowych (s. 178), czy też uwaga o zabijaniu przez partyzantów w lasach niemieckich leśniczych (s. 185).

Autor ukazuje nam dwie postawy Niemców, tak ludności cywilnej, jak i żołnierzy oraz urzędników administracji państwowej i partyjnej wobec zbliżania się armii sowieckiej do Prus Wschodnich oraz zagarniętego w 1939 r. Pomorza i Gdańska.

Z jednej strony rozpadała się dyscyplina, upadały normy moralne, szerzyły się kradzieże i grabież (s. 182, s. 178). Tak na przykład mieszkańców Tapiau zakwaterowano w szkole nr 6 w Gdyni Grabówku: „W pomieszczeniach szkolnych panowało rozdźwięczenie i przynębnienie. Uchodźcy zachowują się wobec siebie ordynarnie, okradają się, denuncjują – i świętują uroczystości” (s. 170).

Pocieszenia i zapomnienia szukano w alkoholu (s. 195, 187, 64) lub u przypadkowo poznanych kobiet (s. 75). Żyjący chcieli się po prostu nacieszyć życiem, dopóki go jeszcze nie stracili. Przełamywano strach i krytykowano władze. Uchodźcy z Allenburga (Družba) „starcy, kobiety i dzieci ... przeklinali Wehrmacht i partię” (s. 65). W Gdyni w magazynie na pirsie gdzie stłoczeni byli uchodźcy z Tapiau starszy człowiek „krzyczał do tłumu «Tak długo przedtem wrzeszczeliście *Heil*, że teraz możecie krzyczeć *Unheil!*»” (Unheil – nieszczęście) (s. 164).

Z drugiej zaś strony porządek, poświęcenie i oddanie słabszym i rannym, zwłaszcza ze strony kobiet, tak przecież zagrożonych. A również poświęcenie ze strony żołnierzy, i choć „Niemcy chcieli już tylko przeżyć. Żołnierze wiedzieli, że każdego dnia, każdej godziny, dopóki utrzymywali pozycje, więcej rannych, kobiet i dzieci, może być ewakuowanych w bezpieczne miejsce” (s. 185).

Niemalże aż do samego końca życie w miastach i na wsi toczyło się normalnie. „Całe okrucieństwo i absurd rozpetanej przez Hitlera drugiej wojny światowej rozszały się w ciągu kilku tygodni nad zupełnie nieprzygotowaną ludnością, omamioną przez partię fałszywym złudzeniem bezpieczeństwa” (s. 13). Uchodźcy z zajętego przez Rosjan (10 lutego) Elbląga „Gdańsk zastali tętniący życiem, jakie znali z Elbląga sprzed 23 stycznia: jeździły tramwaje, ludzie spacerowali po ulicy Długiej (Langgasse) i robili zakupy. W kinach wyświetlano film «Opfergang» Bindinga, ten sam co niedawno w Elblągu. Uchodźcy tłoczyli się na ulicach prowadzących do portu” (s. 59).

Autor bez patosu relacjonuje tragedię, która dotknęła miliony Niemców, kreśląc obraz tułaczki, na którą skazała ich przegrana. Teraz to niemieccy cywile, w tym kobiety i dzieci, odczuły grozę wojny, na którą wcześniej ich przywódcy skazali miliony obywateli Polski, Jugosławii czy ZSRR. Ludzie umierali z powodu chorób („zapalenie płuc i gangrena były najczęstszymi przyczynami zgonów” – s. 186), zimą i głodu. Umierali nie wytrzymując trudów wędrowki przez skutą zimą kraj. „A zima 1944/45 była wilgotna, z niezwykle obfitymi opadami śniegu. ... Wilgotny mróz powoduje odmrożenia znacznie szybciej niż suchy” (s. 187). Ci zaś co pozostali „siedzieli w piwnicach i przerażeni czekali na koniec, którego nie potrafili przewidzieć” (s. 196).

W pracy bogato wykorzystano dokumentację archiwalną: Ostdokumentation Bundesarchiv w Koblenzji, Bundesarchiv – Militärarchiv w Fryburgu Bryzgowijskim, Institut für Zeitgeschichte w Monachium, Bibliothek für Zeitgeschichte w Stuttgarcie, Arbeitskreis für Wehrforschung w Stuttgarcie, Public Record Office w Londynie, dokumenty ze zbiorów Landsmannschaftów (Ziomkostw) oraz ze zbiorów prywatnych.

Tadeusz Dmochowski

Adam Bujak, Czesław Miłosz, *Serce Litwy*, „Biały Kruk”, Kraków 2002, ss. 189; Tomasz Venclova, *Wilno*, R. Paknio Leidykla, Wilno 2002, ss. 215.

Imię miasta, pod wpływem literatury romanetycznej i zawiłości historycznych związków polsko-litewskich, wywołuje określone skojarzenia, zapowiada wędrowkę po ulicach oraz zaułkach znanych-nieznanych, pod barokowymi – jak mówią artyści – chmurami. Powojenny układ sił politycznych w Europie sprawił, że Wilno, na równi z innym symbolem utraconej małej ojczyzny tj. Lwowem, wpisało swą legendę w nurt wspomnień znacznej części emigrantów z dawnych Kresów byłej Rzeczypospolitej. Świat dla nich był zbyt ubogi, by odnaleźć choćby nikłe podobieństwo do łagodnego wzniesienia Góry Zamkowej, migotliwych perspektyw miasta na wzgórzach, niepowtarzalnej architektury kościołów, których dzwony wypełniały całą przestrzeń czymś odświętnym. I jeszcze bzy na Antokolu i sosny na Zakręcie..., by poprzestać na tym wyborze ikonograficznych emblematów Wilna obecnych najczęściej w pamiętnikach, obok Ostrej Bramy, klasztoru bazylianów i Trzech Krzyży.

Czesław Miłosz, w Berkeley, w 1963 r. napisał: „Nigdy od ciebie, miasto, nie mogłem odjechać”. W 1978 r. wraz z Tomaszem Venclovą opublikował w paryskiej „Kulturze” „Dialog o Wilnie”. Obecnie dwaj poeci, tak blisko i serdecznie związani z miastem wydali – jakże różne – przewodnik oraz album. Być może ta odmienność spojrzenia nie powinna dziwić, skoro litewski twórca i dysydent zauważył w jednym z esejów, iż znają niejako dwa miasta, Wilno i Vilnius.

Przewodnik T. Venclovy ukazał się na Litwie, ale w języku polskim, przełamując pewne stereo-